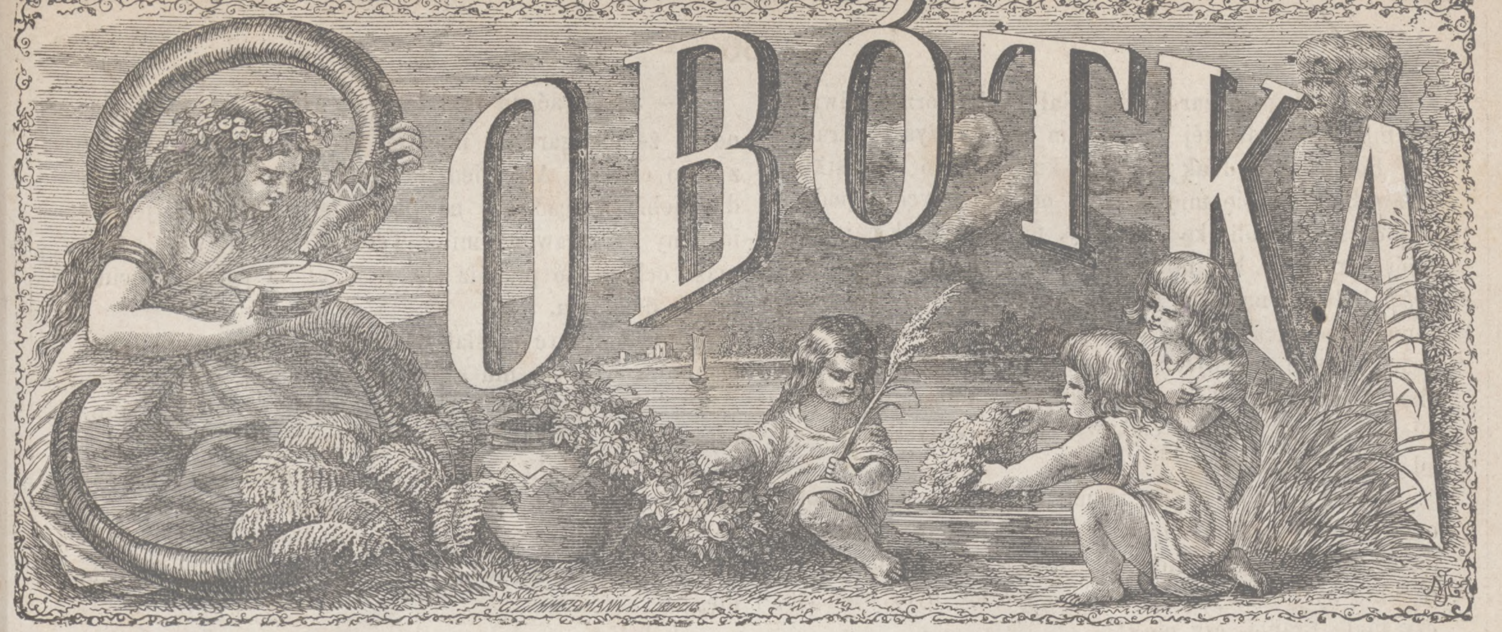


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 9. Poznań, dnia 26 lutego 1870. Rok II.

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

XVI.

W obec takich pogłosek o szambelanowéj, trudno było dalekim jéj krewnym o niéj pomyśleć, chociaż już pytanie: czy ma milion, czy niema miliona? mocno do tego tentowało. Osobliwie bohaterowie owéj wyprawy niefortunnéj na poddasze często wracali myślą na ten ciemny korytarz, ale nigdy nie wynieśli ztamtąd ani jednego światełka, któreby ich oświeciło!

Dwóch z nich należało do krewnych szambelanowéj. Mogli więc ją odwiedzać w każdym razie. Nie czynili jednak tego z nader ważnych względów, to jest, aby w salonach niepopsuć sobie pozycyi zajętéj przyznaniem się do tego pokrewieństwa. Trzéj inni byliby może mniéj dbali na gadaninę salonów, ale nie mieli sposobu wejść na to zaczarowane poddasze.

Podkomorzyc, którego babka była Mirska z domu, miał największy przywiléj do wejścia na poddasze, ale opinia salonów wstrzymywała go od tego kroku. Najprzód szambelanowę i wnuczkę obejrzano od stóp do głowy, a to znaczy bardzo wiele. Jeżeli w innych warstwach towarzyskich praktykują się różne, nawet zbrodnią już będące intrygi, to w salonie wystarcza na wszystko śmieszność, a jeźli jeszcze dowcip ją udrapuje, to ludzie dotknięci tą bronią, przepadli!

A tego najbardziéj obawiał się podkomorzyc. Zarobił on już sobie długoletnią pracą na jakie takie stanowisko w wielkim świecie, a pierwsza wiadomość, że bywa u szambelanowéj, która jest jego krewną, zepchnęłaby go z niego.

Jeszcze mniejszaby było o to stanowisko, gdyby za to zdobyć milion! Z milionem w kieszeni możeby to jakoś nie tak źle było. Wtedy nawet wielki świat darowałby mu śmieszną szambelanowę, wnuczce darowałby jéj piegi i włosy rude, a nawet nauczyłby ją prawdziwie francuzkiéj pronuncyacyi! Bywały nawet jeszcze gorsze przykłady tolerancyi salonów.

Ale ten milion był dotąd mytem! Jakże to stawić wszystko na kartę? A co gorsza, zamiast miliona obaczy najwyższe ubóstwo, ludzi tonących w nędzy, którzy gotowi się go uczepić i wstydu mu narobić! O pokrewieństwie jego dotąd nie wszędzie wiedziano, miałże sam tę niekorzystną wiadomość roztrąbić na wszystkie strony świata?

A zresztą, rozumował sobie podkomorzyc, cóżby nawet mógł pomódz szambelanowéj, przyznaniem się do pokrewieństwa? Sam nie miał majątku, tylko tradycyą dawnego rodu utrzymywał się jakoś bardzo sprytnie na widowni wielkiego świata. Tę tradycyą możnaby może kiedy dobrze sprzedać jakiéj złotéj gąsce, która gwałtem chciałaby mieć koronę hrabiowską na karecie, a wszedłszy raz w zażyłość z szambelanową, która wkrótce do towarzystwa dobroczynności rękę wyciągnie, potrzeba było pożegnać się z tą jedyną nadzieją, która jeszcze czasami świeciła mu przed oczyma!...

Do takiego hazardu nie miał podkomorzyc odwagi. Tu miał przynajmniéj coś, a tam mógł wszystko stracić.

Ponieważ jednak szatan kusiciel do wszystkich spraw ludzkich się miesza, to i podkomorzycowi podsuwał czasami tabliczkę pod oczy, na któréj jak najwyraźniéj napisany był milion!... W takich chwilach słabości ludzkiéj nasuwał podkomorzyc kapelusz na oczy, zarzucał płaszcz szeroki na lewe ramie tak wysoko, że twarzy widać nie było, i wychodził na Leszno przez ulicę Rymarską. Tam długo krążył wkoło narożnéj kamienicy, wpatrując się ciekawie w jéj wszystkie plamy od szarug północnych.

Szare jednak ściany nieubłaganéj kamienicy milczały, nie dając mu odpowiedzi, czy jest tam na poddaszu milion czy go niema? Nawet okna poddasza tak dziwnie były nieczytelne, że nie można było wiedzieć, czy mają firanki, czy nie?!

Podkomorzyć co kilka dni wyprawiał incognito takie wycieczki. Razu jednego, przed obiadem chciał nawet bliżéj dotrzeć. Wszedł ostrożnie do sieni i zaczął kamienicę z wewnątrz studyować. Lecz i tutaj nie znalazł najmniejszego hieroglifu, któryby mógł milion oznaczać. Kamienica była stara, ciemna, brzydka. Tylko ubodzy mogą w takich domach mieszkać.

Podkomorzyc chciał się prędko cofnąć z tego niebezpiecznego miejsca, ale jakaś kobieta wyszła z dala i zapytała kogo szuka. Potrzeba było coś naprędce odpowiedzieć W téj chwili sam szatan kusiciel podszepnął mu: Pani szambelanowéj!

Zaledwie te dwa słowa wymówił, usłyszał na schodach przeciągłe sapanie, a za chwilę stanęła przed nim stara i szpetna kobieta.

— Czy to waćpan o mnie się pytasz? zapytała szorstko i zmarszczyła brwi.

W sieni stało kilku swiadków, którzy słyszeli jak podkomorzyć rzeczywiście o szambelanową się pytał... Nie było żadnéj innéj rady jak tylko przyznać się, choć prawdę powiedziawszy, ciarki biegały mu po całém ciele...

Szambelanowa wyjątkowo miała dzisiaj jakiś futrzany kaptur na głowie. Powietrze bowiem było zimne i przejmujące. Salopa podbita atłasem miała widoczne cechy zeszłego stulecia. Rękawice z króliczego futra uzupełniały jéj ubiór.

Za nią w półświetle stała Terenia. Twarz jéj jak zawsze była ładna, czarne oczka ciekawie patrzyły na podkomorzyca, ale ubranie głowy było jakoś dzisiaj tak prozaiczne, że podkomorzyc widział w niéj tylko bardzo pospolitą dziewczynę.

— Więc to aćpan mnie szukałeś mości podkomorzycu? zapytała szambelanowa, patrząc na wykwintny ubiór knzyna.

— Byłbym od dawna służył pani szambelanowéj, odparł zakłopotany podkomorzyc, ale któżby się spodziewał...

— Że mieszkam na poddaszu! uzupełniła szambelanowa i rozśmiała się — tak, tak! Czasy zmieniły się! Zbiednieliśmy!

Podkomorzyc stał jak na węglach i nie wiedział co z sobą zrobić. Oglądał się, czy go nie widzi kto z wielkiego świata.

— Jeżeli aćpan taki łaskaw, ozwała się szambelanowa, że nie gardzisz ubogimi krewnemi, to bardzo się z tego cieszę. Ale wiedzże rybeńko, żem za stara, aby dla ciebie wracać się na poddasze. Do tego jeszcze idziemy za sprawunkami z Terenią. Jeżeli więc aćpan masz ochotę, to przejdź się z nami, a potem wrócimy razem do domu.

Podkomorzyc myślał właśnie o proteście, ale szambelanowa wsunęła mu swoją rękę między żebra i rzekła:

— Idź Tereniu sama, podkomorzyc będzie mnie prowadzić! On zawsze ma więcéj siły od ciebie.

Nie pozostało więc nic innego podkomorzycowi, jak tylko z rezygnacyą przyjąć wyrok okrutny, jaki go spotkał za zbyteczną ciekawość wywiedzenia się o milionie! Była to zasłużona kara pokusy, jakiéj przed chwilą uległ.

Jednéj rzeczy tylko gorąco teraz pragnął — to jest aby go nikt nie widział! Za to dałby nawet w téj chwili cały milion, gdyby go miał!...

XVII.

Szczęśliwie wyszli na ulicę. Tutaj jeszcze jakoś nie było wielkiego niebezpieczeństwa. Leszno nie ma mieszkańców wielkiego świata. Do tego jeszcze haniebny bruk, a brak zupełny chodników odstręczał miejskich próżniaków zawsze od téj części miasta, która z tego powodu dla wielu mieszkających w Warszawie była terra incognita. Dla tego ulica ta przybrała odrębną sobie cechę i wyróżniała się od innych ulic całą swoją fizognomią, życiem i zwyczajami. Było to osobne jakieś małe miasteczko pod stolicą królestwa, które w wielu rzeczach samo sobie wystarczało nie turbując się o stolicę.

Podkomorzyc był więc tu pewnym, że go nikt ze znajomych nie obaczy, i że cały ten epizod jego życia pozostanie dla wielkiego świata tajemnicą. Odetchnął więc lżejszą piersią w nadziei, że wycieczka staréj szambelanowéj po za Leszno nie sięgnie.

Z Terenią prócz kilku słów zamienionych z nią w sieni, nic więcéj nie mówił. Nie miała ona dla niego żadnego interesu. Cała jéj powierzchowność wskazywała, że ta miliona nie ma, o którym rozeszły się wieści. Było mu nawet jakoś nie na rękę przyznać się do jéj kuzynostwa, nie wiedząc wcale jakiego mu kiedyś męża zaprezentuje. Ale nieubłagana szambelanowa przedstawiła go jako kuzynka, a podkomorzyc długo się krztusił, nim tę pigułkę połknął.

Gdy już byli na ulicy, ozwała się szambelanowa:

— I cóż porabiasz w Warszawie mości podkomorzycu? Oj bieda to dla nas teraz bieda!... Ale cóż robić! Dawniéj było inaczéj! Były fortuny, to téż nie umieliśmy ich szanować. Wszystko poszło z szumem i hukiem, ale poszło!

Podkomorzyc nie umiał i nie chciał na to nic odpowiedzieć. Była to materya delikatna. Westchnął tylko.

— Znałam dobrze nieboszczyka ojca, prawiła dalej szambelanowa, był to człowiek dobry i gościnny, to téż wszystko poszło i zostały tylko długi. Cóżeście z tymi długami zrobili? Wszak już majątku żadnego nie macie!

— Długów nieco popłaciło się — cedził przez zęby podkomorzyc, przeklinając szatana-kusiciela.

— A w końcu wam nic nie zostało! Wiem, wiem!... Takto ojcowie nie mieli na to względu, że dzieci biedne zostają.

Podkomorzyc, po którego wykwintnym ubiorze wcale téj biedy nie było znać, westchnął znowu miasto odpowiedzi.

— Ale powiedzże mi kuzynie, prawiła daléj nie litościwa szambelanowa, jakże sobie radzisz, że masz przecież jakiś cały kubrak na grzbiecie? Służąca gdzie? Piszesz w biurze?

Podkomorzyc poczerwieniał cały. Spojrzał z ukosa na Terenię i spotkał się z jéj ciekawemi oczkami, które właśnie oglądały płaszczyk elegancki od góry do dołu. Zacisnął usta i odparł!

— Jeszcze tak dalece nie jestem potrzebnym, abym musiał służyć lub w biurze pisać!

— Ej! co mi tam aćpan bajesz! Wczoraj dopiero mówił mi mecenas, że biegałeś aby tysiąc złotych pożyczyć i nikt nie chciał dać!... Do czegóż to taki wstyd fałszywy między krewnymi?

Podkomorzyc miał wielką ochotę wtrącić starą babę do rynsztoku i drapnąć. Ale namyślił się się i odparł:

— Nie miałbym wcale wstydu, gdyby ci krewni dopomódz mnie mogli, ale...

— Ale gdy są biedni, kończyła szambelanowa, to chcesz ich dobrą miną pocieszyć, choć chłodno i głodno!... Dobrze. Jeżeli kto drugiemu pomódz nie może, to nie trzeba nawet dać mu to uczuć! Zbiednieliśmy!...

Podkomorzyc zaczynał przytomność tracić. Tak przykrych słów jeszcze nigdy nie słyszał! Wprawdzie nie miał żadnéj fortuny, ale umiał jakoś zawsze to pokryć, i nikt mu tego na głos nie powiedział, że jest biedny. Nawet w tym celu starannie unikał wszelkiéj pracy, aby go o ubóstwo nie posądzono. Zawsze jeszcze liczył na bogate ożenienie się...

— Ale koniec końców, mój kochany kuzynie, prawiła daléj szambelanowa, choć jesteś goły jak turecki święty, to przecież nie trzeba rąk opuszczać. Trzeba coś sobie wyszukać, znaleść miejsce w jakim biurze, lub się czegoś nauczyć... bo inaczéj przyjdzie ci umrzeć pod cudzym płotem o kiju żebraczym!... Wasze salony nie znoszą ubóstwa!...

— Szambelanowo, dajesz mi arcyzbawienne rady, zgrzytał zębami podkomorzyc.

— Bo ja znam dobrze ten świat wielki! Dopókąd będziesz miał białe rękawiczki, to ci jeszcze dadzą jaki chłap z półmiska, ale gdy ci na to już grosza nie stanie, to flakarka na Starem mieście nie da ci nawet porcyi flaków!

Podkomorzyc gryzł wargi ze złości. Nigdy jeszcze nie był w podobnéj sytuacyi. Wprawdzie często odmawiali mu ludzie pożyczki pieniędzy, ale odmowę swoją słodzili tak słodkiemi wyrazami, że po takiéj odmowie jeszcze wyżéj głowę nosił. Tutaj słysząc wprost słowa, o których nawet nigdy nie pomyślał, a co najgorsza, że podobne słowa słucha Terenia...

Przy téj rozmowie nie wiedział nawet, że wyszli już na plac koło kolumny Zygmunta. Było to miejsce nader niebezpieczne. Powietrze było wprawdzie zimne, ale mnóstwo ludzi wyszło na przechadzkę po Krakowskim Przedmieściu.

Podkomorzyc chciał tutaj pożegnać szambelanowę, ale ta przycisnęła się do niego i rzekła:

— Przecież tu mię aćpan nie opuścisz! Tu jeżdżą doróżki jak szalone! Prowadź mnie na Stare miasto. nie spotkasz nikogo. Z rezygnacyą więc zeszedł na dół i weszli w ulicę Świętojańską.

Przy ulicy Świętojańskiéj są sklepy gospodarzy. Szambelanowa spojrzała na skórę rozpiętą na okienicy i rzekła z uśmiechem:

— Patrz kuzynku, jaka to pyszna skóra! Jeźli się nie mylę, siedzi tam za ladą jakaś panienka. Garbarze to zazwyczaj ludzie majętni. Śmierdzi bo u nich, śmierdzi — ale najgorzéj śmierdzi ubóstwo! Wierzaj mi!... Czasami to można taką garbarkę porwać z milionem... wy to na wielkim świecie umiecie i jakoś nawet garbarski biszof wtedy wam nie śmierdzi!...

— Szambelanowa jest dzisiaj w fatalnym humorze, zauważył zgryzliwie podkomorzyc...

— Ależ rybeńko, nie pojmujesz mnie! Gdybym była bogata, to byś mógł słowa moje wziąść za ironią, ale oboje biedni jesteśmy, dla czegóż nie mamy z sobą otwarcie mówić i rzeczy po nazwisku nazywać?...

Tutaj zbliżyli się wszyscy do Rynku. Szambelanowa stanęła pod straganem z marchwią.

— Otóż widzisz kuzynku, mówiła szambelanowa, jesteśmy u celu naszéj wędrówki. Terenia i ja lubimy nadzwyczaj żółtą marchew. Służąca nigdy tak dobréj nie przynosi. Dla tego powiedziałam dzisiaj do Tereni: wyjdziemy, przejdziemy się i same marchew kupiemy!... Biedni nie powinni niczego się wstydzić!

Rzekłszy to wzięła dwa pęki marchwi. Jeden zostawiła sobie, drugi dała Tereni...

Podkomorzyc patrzył na to wystraszony. Obejrzał się szybko, czy kto go nie widzi. A niebezpieczeństwo było wielkie, bo od Fukiera wychodzili właśnie palestranci... Tymczasem wiąska marchwi nie chciała się jakoś dobrze trzymać w małéj rączce Tereni. Szambelanowa patrzała na usuwającą się marchew z uśmiechem a potém rzekła:

— Patrz kuzynku, jak to dzisiaj młode panienki nie umieją marchwi trzymać... może byś jéj pomógł?...

Podkomorzyc poczerwieniał jak pąs. Rzucił okiem w koło... ale ratunku żadnego nie było.

— Oddaj Tereniu podkomorzycowi, jeźli ci niewygodnie! rzekła szambelanowa.

Terenia z dowcipnym uśmiechem zwróciła się do podkomorzyca... podkomorzyc machinalnie wziął marchew. W głowie mu zaszumiało... i odtąd już nie wiedział co się z nim daléj działo!...

Kubaś tylko opowiadał po salonach, że widział podkomorzyca, jak niósł dwa paki marchwi i szedł z szambelanową przez całe Krakowskie Przedmieście aż do Kopernika... tam i napowrót!

Podkomorzyc przyszedł dopiero do siebie, gdy pod kamienicą na Lesznie zapraszała go szambelanowa na odgrzewane kołduny. Terenia miała na ustach zabijający, ironiczny uśmiech... podkomorzyc tyle jeszcze miał przytomności, że kilkoma słowy za kołduny podziękował, skłonił się i odszedł.

Szambelanowa patrzała czas niejaki zanim z uśmiechem boleśnym, a potém rzekła do Tereni:

— Patrz Tereniu! Ten człowiek nie ma złamanego szeląga — ale umrze pierwéj z głodu, niżeli weźmie się do jakiéj pracy, bo jest tego przekonania, że każda praca człowieka w salonie poniża!

C. d. n.

W IMIONNIKU

pannie Emilii ***

Jeśli kto mowę swoją stroi cudnie
W czary i kwiat;
A w sercu zdradę ukrywa obłudnie
Jak podły gad;
Jeśli kto krzyżem kreśli się w kościele,
A czynem rani:
Choćby ci mówił słówek pięknych wiele, —
Nie wierz mu pani.

Jeśli kto szepcąc o miłości swojéj,
Dobiera słów:
Nie wierz, — bo miłość szelestu się boi,
Jak anioł snów!
Choćby przysięgał, że ginąc mu raczéj,
W piekieł otchłani:
Odejdź spokojna, — nie umrze z rozpaczy:
Nie wierz mu pani!

Lecz jeśli cicho ktoś rzec się poważy,
Że kocha cię!
I widzisz smutek w jego bladéj twarzy
A w oczach łzę.
Choć tak prostaczych, — i choć słów tak mało
Przyniósł ci w dani:
Możesz mu wierzyć i zaufać śmiało,
I kochać pani!

10. II. 70.

Wł. Bełza.

Adam Mickiewicz.

(Z ryciną.)

Wśród całéj plejady polskich wieszczów bezwątpienia pierwsze miejsce zajmuje Adam. On to przełamał mury klasycyzmu i zadał ostatni cios, poezyi pięknego wiersza bez treści. On ją podniósł z poziomów deklamacyi i dowcipu do téj wysokości, gdzie przebywa wielkość myśli i piękność ideałów. Najcelniejszym z jego utworów jest „pan Tadeusz" o którym Zygmunt Krasiński tak mówi: Żaden europejski lud nie ma dziś takiéj epopei, jak „pan Tadeusz." Odczytałem go niedawno. Don-Kiszot tam się zlał z Illiadą. Poeta stał na przesmyku między znikającem tem pokoleniem ludzi a między nami. Nim umarli, widział ich, a teraz już ich nie ma. Właśnie to jest stanowisko epopei. Dokonał tego Adam po mistrzowsku: to plemię umarłe uwiecznił.

Sonety krymskie, Dziady, Konrad Walenrod, Grażyna i wiele pomniejszych utworów, każde z nich nosi na sobie piętno geniuszu. Przy załączonéj illustracyi, poprzestajemy na téj krótkiéj wzmiance. Życie wieszcza, ze wszystkiemi szczegółami puklicznośći jest znane. Szersze tylko ocenienie dzieł jego, oczekuje krytyki, któraby do wysokości utworów mogła się podnieść.

Kartki z podróży po Georgii.

Tyflis. (Przez J. Grz...)

(Dokończenie).

Milczenie grobowe przerywane było tylko niekiedy rzuconem przekleństwem szyity swemu sąsiadowi sunicie, albo echem drewnianych sandołów spieszącego Tatara. Lecz im daléj posuwaliśmy się, te resztki światła tonęły w nieprzejrzanych murach, półcienie przechodziły w cienie, aż zapanowały zupełne ciemnością. Dolatujące dotychczas odgłosy kłócących się Ormian, żydów i Georgianów przybierały coraz wyraźniejsze dźwięki i stopniowo tysiącem słów i wykrzykników odbijając się o sklepienia żelaznych arkad, rozlewały się w powietrzu i przechodziły w gwar niezrozumiały o stu skrzydłach, stu piorunach. Wiszące u stopni latarnie i lampy oświecały górne warstwy atmosfery, a kopcące się ich knoty dymem swoim słały brudne smugi i z daleka wraz z światłem tworzyły jakby łunę dalekiego pożaru. A na dole ciemno, choć gwarno. Tu zgiełkliwi kramarze wyrywają cię z rąk do rąk i pięściami grożą przeciwnikom, którzyby się ważyli ciebie na swoją stronę przeciągnąć; tam kupki szarlatanów dzielą pomiędzy sobą zdobycz; tędy przeciska się kilku derwiszów, piskliwie wzywają Ałłacha, zmuszają cię do jałmużny; tamtędy przebiegają tłumy żółdaków, z krzykiem prześladując i goniąc za zbłąkaną kobietą. Porostawiane przy ścianach kaliany zioną z paszcz swoich

całe chmury dymu, obchwytującego cię ze wszech stron, a z ich fajerek jeśli wyleci niekiedy kilka iskier, a to oświecą tę masę różnorodną, spostrzeżesz takie szatańskie oblicza, takie okropne poczwary, o jakich ci się nie śniło nawet. Krzyk, wrzawa, ciemność, dym — wszystko to tak zabijająco działa na ciebie, że czujesz mdłości i osłabienie: w głowie ci się wszystko przewraca, w uszach tętni, w oczach ćmi się i jeśliś nie stracił jeszcze przytomności, to jak najprędzéj starasz się wyrwać, wydobyć z tego piekła dantejskiego. Taki to bazar wschodu. Jedną ręką trzymając się kieszeni a drugą poły naprzód idącego towarzysza, po gęsiemu przecisnęliśmy się przez te tłumy i wyszliśmy na ulicę prowadzącą do dawniejszéj cytadeli. Na lewo u stóp pobudowane łaźnie.

Przechodząc koło nich nie widać żadnych budynków, a tylko sterczące nad ziemią ich dachy, podobne do okrągłych kapeluszów, lub do grzybów wyrastających



Adam Mickiewicz.

z ziemi; widać rezerwoary metaliczne lub kamienne, przeprowadzone od tych dachów do stóp góry, z któréj wytryska kilkanaście źródeł ciepłéj, nawet gorącéj siarczanéj wody. Wchodzi się do łaźni po stopniach na dół, a przeszedłszy kilka korytarzy, udaje się do sali tak zwanéj sułtańskiéj, z któréj kilkanaście drzwi prowadzi do pojedyńczych numerów. Każdy numer składa się z dwóch pokoi: garderoby i właściwéj łaźni; ściany téj ostatniéj wyłożone białym marmurem, a w jednéj z nich, przytykającéj do góry źródlanéj, wprawiono kilka kranów, przez które ciekąca woda różnéj temperatury od najzimniejszéj do najgorętszéj — spływa do znajdujących się tuż na podłodze marmurowych basejnów i wanien. Wzdłuż przeciwległéj ściany urządzone marmurowe lub dębowe tapczany z wezgłowiem. Po kilkakrotnem zanurzeniu się w wannie, usługujący Tatar, przez Moskali nazwany **parszczykiem** lub **bańszczykiem** (od pary lub bani — łaźni) bierze kąpiącego się pacyenta pod swoją opiekę, kładzie go na jednym z tapczanów, a po wyparzeniu i wymyciu ciała mydłem, za-

czyna gimnastykować. Wyciąga mu ręce, nogi, nie zapomina o żadnym palcu i powtarza tę operacyę dopóty, dopóki pacyent przez głośne i częste łamanie sustawów stanie się bezwładnym; wówczas przewraca go na drugą stronę, a pocisnąwszy kilkakroć łokciem swojéj ręki wzdłuż całego grzbietu, opiera się kolanami, ołkrzyże i siadłszy gdyby jeździec na koniu, ściska kolanami cały korpus; poczém wstaje i chodzi lub tańczy po nogach i grzbiecie. Przewraca znowu na drugą stronę i takąż operacyą powtarza z klatką piersiową. Kiedy znużony i osłabiony tą gimnastyką pacyent, prawie zupełnie traci przytomność, Tatar stawia go na nogi, a wstrząsnąwszy nim silnie, rzuca go do basejnu; oblanie zimną źródlaną wodą kończy tę kąpiel. Poczém podają szklankę kachetyńskiego wina, które wówczas wydaje się nadzwyczaj przyjemném i smakiem zbliża się do szampańskiego i pacyent czuje się tak zdrowym i rzeźwym, jak gdyby z bark jego zdjęto brzemię lat kilkunastu, i jak gdyby wieki całe miał żyć.

Kiedyśmy wyszli z łaźni była już spóźniona pora. Gabryel, korzystając ze sposobności, zaprosił nas do siebie na herbatę, a mieszkał nie daleko z tamtąd — w karawan-seraju Szadinowa. Budynek to podobny do wielu innych karawan-serajów, różniący się tylko od nich rozmiarem swoim. Długość 500 łokci, a szerokość 300 wznosi się do góry na szeéć pięter, poprzedzielanych od siebie obiegającemi go do koła galeryami. Na galeryach tych poustawiane wazony z kwiatami cytryn, pomarańcz, mirtów etc. nadawały mu fizyognomią olbrzymiéj oranżeryi, a to tembardziéj jeszcze, iż wszystkie cztery ściany były tak gęsto podziurawione oknami, że szyby ich prawie zlewały się w jedną masę szklaną; sutereny tylko i dolne piętro wolne od nich były. Tu się mieściły restauracye, kawiarnie i magazyny. Wnętrze zaś całe, podzielone na mnóstwo apartamentów o 10, 5, 3 i 1 pokoju, zajęte wciąż było przez przejezdnych kupców z Azyi.

Ponieważ ciemno już było, a korytarze gmachu tego nieoświetlone, więc niemogliśmy go obejrzeć; natomiast Gabryel zaproponował po herbacie poznajomić nas z jednym Persyaninem, który często przyjeżdżał z Teherania do Tyflisu i tu przesiadywał niekiedy po kilka miesięcy. Teraz mieszkał w karawan-seraju już od pół roku i dawał się z tem słyszeć, że zamieszka tu jeśli nie na zawsze, to na czas dłuższy, bo nawet kilka żon swoich sprowadził z Persyi. Po licznych wschodach dobraliśmy się na trzecie piętro i weszliśmy do wielkiego pokoju, którego podłoga i ściany usłane były kobiercami. W głębi od jednéj ściany do drugiéj ciągnął się niski a szeroki drewniany tapczan lub raczéj sofa; zasłana także kobiercem, na któréj pośrodku siedział wschodnim zwyczajem, młody, wysoki i barczysty mężczyzna, szatyn z błękitnem okiem. Widząc wchodzących obcych ludzi, podniósł się z miejsca, uchylił czapkę, a po zarekomendowaniu nas przez Gabryela. uprzejmie lecz z powagą zaprosił nas do wieczerzy, którą był w téj chwili zaczął. Służący, jak podejrzywaliśmy, rzezaniec, podał na pierwszą potrawę sałatę i selery ze śmietaną i kwaśnem mlekiem, a na drugą — pilaw z ryżu. Ponieważ Gabryel szepnął nam nieznacznie, że Dżafar by się obraził, gdybyśmy odmówili i przyjąłby tę odmowę za zniewagę, musieliśmy skosztować po trosze tych specyałów. Poczém eunuch podał każdemy z nas fajkę, a zapaliwszy takowę, i otoczywszy się wonnym dymkiem, poczęliśmy się bliżéj znajomić z gospodarzem i stopniowo, stopniowo, gawędka stawała się poufalszą i przyjacielską. Ludzie wschodu chociaż są z powierzchowności i napozór jakoby skryci i tajemniczy, jednak w gruncie więcéj mają otwartości i szczerości, niźli europejczycy, a zwłaszcza jeśli wiedzą naprzód, że ludzie z którymi mówią, nie mają obłudy, a za takich wystawił nas przed nim Gabryel.

Rozmawialiśmy więc o rozmaitych bieżących sprawach: o nowinach ze wschodu, o ówczesnym duchu narodowym Ormian w Konstantynopolu, o objawiającéj się dla nich sympatyi na zachodzie; przeszliśmy do ludów kaukazkich: mówiliśmy o murydyzmie, o Szamylu i o tém zjednoczeniu chwilowem różnych ludów pod jego sztandarem. Dżafar ubolewał nad tém, że wieczna nieprzyjaźń i wzajemna antypatya Turków i Persów pozwoliła wzmódz się i nabrać siły ich wspólnemu wrogowi - Moskwie; że gdyby nie ta antypatya, Kaukaz dotychczas byłby w posiadaniu i jednych i drugich, że panowanie nad nim zapewnia wpływ jéj na sprawy Turcyi i Persyi i otwiera drogę do Indyi. Sarkiz żałował, że był czas kiedy Ormianin i Georgianin szukali protekcyi i przyjaźni Moskwy, ale że oni zmuszeni byli uciekać się do tego środka, chcąc ujść prześladowaniom muzułmanów. Ztąd wywiązała się obszerna dysputa i sprzeczka, w któréj Dżafar okazał wiele taktu i tolerancyi.

Nadir, ów rzezaniec, dotychczas milczący i z nachmurzoną brwią, przysłuchujący się téj rozmowie, tak był zachwycony intonacyą i gestami swego pana, którego miał za wyrocznię, że uśmiechając się, przystępował do Dżafara i z entuzyazmem zawołał:

— Aj, Dżafarze, tyś mądry i chytry jak wąż. Ale czemuż ty nie powracasz do Teheranu; tam będziesz ministrem!

Znajomość nasza z Dżafarem stała się wkrótce dość poufałą i uczyniła nam wstęp do innych domów tatarskich i perskich. Bywaliśmy dość często u niego, on u nas — i spędzaliśmy czas na miłych pogadankach o Wschodzie i Polsce, któréj przeszłość i terazniejszość bardzo go interesowały. Lecz jeśli sądy jego o sprawach publicznych były wytrawne i zdrowe, to o kobiecie mówił z pogardą, o żonach zaś swoich ani razu nie wspomniał; i chociaż byliśmy ciekawi poznać jego harem, jednak przez delikatność i wzgląd na zwyczaje Wschodu, których on pod tym względem był surowym przestrzegaczem, nie śmieliśmy mu uczynić téj propozycyi.

O wpływie muzyki i zabaw towarzyskich na zdrowie osób nerwowych, a wszczególności kobiet*).

Od niepamiętnych czasów u wszystkich narodów muzyka, jako środek medyczny, w wielkiém była uważaniu. W wiekach bardzo od nas dalekich, z muzyką łączyły się nawet cuda. Hebrajczycy posługiwali się tą sztuką nie tylko w celu sprawienia przyjemnoci, ale w celu podniesienia ducha i leczenia różnych chorób. Król Dawid cudowną grą na harfie wypędzał z Saula złego ducha. Starożytni Grecy wydoskonalili muzykę i wprowadzili ją w życie wojskowe, a pod jéj wpływem duch wojska wzmagał się. Aleksander Wielki na dźwięk liry Tymoteusza wpadał w szalony zapał.

Z postępem ogólnym zastósowano muzykę do wszystkich poważnych i zabawiających celów: zabrzmiały w świątyniach pańskich dziękczynne pienia, towarzyszono muzyką figlom kuglarzy i magików, skoczków na linie i innych, słowem czy łzy wycisnąć, czy uśmiech obudzić na twarzy, zawsze i wszędzie potrzeba było i jest muzyki.

I nie dziw, że muzyka obudza tyle cudownych w nas przemian, bo dla człowieka jest ona najczystszą

*) Ustęp z niewydanéj Hygieny dr. K. Gregorowicza, drukowany w T. 1. r. 1860. (Przyp. Red. Sobótki).

mową serca i czucia, jakżeby więc nie miała być zromianą? Zejdźmy do niższéj sfery jestestw, do zwierząt, a zobaczymy jak dzielnie wpływa muzyka na dzikie nawet bestye. Za głosem flecika idą słoń i niedźwiedź; łania na odgłos rzewnéj muzyki kładzie się, a nawet, jak zapewniają, da się schwycić. Ptaszki w ogólności przysłuchują się brzmieniom piszczałki; bociany mają lubić dźwięk gitary, a na głos cymbałów, mówią, że pszczoły wracają do ulów. Na szczury i pająki szczególniéj mają oddziaływać rzewne tony lutni. Wiadomo także jakie wrażenie sprawia muzyka na psach.

Koń z największą łatwością obznajmia się z muzyką; podług głosu trąbki bez kierunku jeźdźca odbywa w największym porządku wszystkie obroty, a na sygnał: marsz! marsz! pędzi naprzód z największém rozhukaniem. Ryczenie osła przestrasza konia, a tak nieznośny jest dla słonia kwik i chrząkanie świń, że posłyszawszy je, ucieka Tygrys na głos bębna wpada w ściekłość, a jak mówią, pianie koguta przejmuje lwa strachem.

W organizmie ludzkim muzyka wywiera największy wpływ na układ nerwowy, działając zarówno na stałe jako też na płynne organa; może więc przyspieszać lub zwalniać bieg krwi, jak również wzruszać płynem nerwowym. Działanie to jednak jest zupełnie względne; zależy ono głównie od szczególnéj budowy, od temperamentu, od wewnętrznego usposobienia, od stanu zdrowia i od odebranego wychowania. W miarę tych warunków dziłanie muzyki okaże się różne.

Pod wpływem muzyki objawia się w człowieku prawdziwe lub fałszywe uczucie; w pierwszym razie rozbudzi w nim do wysokiego stopnia wrodzoną czułość, a w drugim razie usokoi chorobliwą tkliwość. W tych wszystkich atoli wypadkach wiele także zależy od rodzaju kompozycyi, od wykonania téże i od indywidualnego usposobienia muzycznego. Słusznie powiedział Bakon, że skład cały budowy człowieka, tak cudownie i misternie skomplikowany, podobny jest do doskonałego instrumentu muzycznego, podpadającego częstemu zepsuciu, że wię do medycyny należy czuwać, by instrument ten nie rozstrajał się, ale wydawał zawsze brzmienia czyste i przyjemne.

Dr. Rosier porównał muzykę z Proteuszem, co w tysiącznych przeobrażeniach wyraża wszelkie uczucia duszy, od najdelikatniejszych i najmilszych, do najboleśniejszych, pobudza ją lub uspokaja, zasmuca lub rozwesela, jedném słowem usposabia do czucia albo do myślenia. Mało jest ludzi, na którychby muzyka żadnego nie sprawiała wrażenia i mało takich, coby nie zauważyli jéj działania. Działanie to musi być silne, kiedy liczne przykłady wykazały, że pod jéj wpływem niekiedy ból nawet ustaje.

Przypuszczając tedy choroby duszy, należy poznać symptomata wyróżniające je od innych chorób. Są one bardzo liczne. U ludzi zużytych, miękkiego życia, przesyconych rozkoszami świata, zwykle nudota nieustającą jest chorobą duszy, chorobą moralną. W każdéj chwili i na każdém miejscu im źle; teatr, zgromadzenia domowe, rozmowa przyjacielska, dzieci, kwiaty, obrazy przyrody, nowiny polityczne i t. d., wszystko to ich nudzi. Jedna tylko muzyka, ale muzyka łagodna, tkliwa, przelewa w ich duszę jakiś spokój, odradza zamarłe uczucie, odmładza imaginacyą, ocuca uśpioną duszę i wprowadza ją w stan błogi jakiéjś nadziei, ubarwionéj złudzeniem. Słowem, gdy wszystko piękne i miłe straci swój powab, a człowiek jest już na granicy przepaści, co go ma rozłączyć z życiem duchowém, podnoszącém jego dzielność, gdy nawet użycie środków lekarskich stanie się szkodliwém, wtedy muzyka wpływem swoim na cały układ nerwowy działa jako lekarstwo odprowadzające (dérivatif) chorobę.

W rozprzężeniu nerwowém, jakiemu niekiedy podlegają poeci, nic lepiéj nie uspokaja chaosu uczuć, natchnień, marzeń, jak muzyka. Mickiewicz takiego doświadczał spokoju, słysząc pieśń: „Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły“ lub aryą Don Juana, że mógł słuchać bez przerwy kilka godzin i pod tém wrażeniem przelewał na papier niezrównane cuda swéj wyobraźni.

„Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla duszy winem.“
(Wallenrod).

Muzyka podnosi uczucie pobożności; dobrany śpiew z towarzyszeniem organu napełnia najzimniejszą duszę błogim pokojem zbliżającym go do Stwórcy. Kogo opuściła wiara kto zwątpił o wszystkiém, co go powinno unosić do Boga, niech wnijdzie do świątyni Pańskiéj, kiedy lud na klęczkach jednym brzmi chórem: „Święty Boże! święty a nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami!“ a tam topniejąc łzami, pokocha Boga, modlitwę i ten lud, co tak gorąco błaga miłosierdzia Boskiego.

Nie ma wątpliwości, że w wielu chorobach spazmowych, zwłaszcza u niewiast, muzyka wywiera zbawienny wpływ jakby jaki szczególny środek medyczny. U niektórych kobiet muzyka uspokaja migrenowy ból głowy, albo też rozdraźnienie nerwowe; innym sprowadza sen, którego nadaremnie wyczekiwały Są ludzie skarżący się na brak apetytu, którym muzyka w części go powraca.

Starożytni Grecy, wydalając się na wyprawy wojenne, zalecali swym żonom w czasie ich nieobecności zabawianie się muzyką; był to skuteczny środek odpędzania złych myśli. Inne były czasy, inne też obyczaje. Jakkolwiekbądź, w epoce w któréj obecnie żyjemy, zaprzątnienie umysłów młodzieży płci obojéj muzyką, wielki wpływ wywiera na uspokojenie rozbudzających się żądz. Są pieśni tak rzewne, tak miłe, że ich melodya na zawsze zostaje w pamięci, pamięć takich pieśni unosi się zwykle z pod domowéj strzechy, do nich przywiązują się wszystkie domowe wspomnienia, są one w każdym wieku naszego życia najmilszemi wrażeniami serca. A cóż dopiero, gdy na polu sławy zabrzmi trąba bojowa, jak wtedy rośnie serce żołnierza, z jaką zapamiętałością rzuca się w szyki nieprzyjaciół, miotając śmierć dokoła!

Ale to różnorodne działanie muzyki na układ nasz nerwowy, zależy od jéj rodzaju: ton, rytm, takt i układ stanowią to właśnie, co przemawia do duszy słuchacza. Utwory muzyczne nowożytne, wielce różnią się od dawniejszych; dziś uważają najbardziéj na to, aby sprawić wrażenie, aby zadziwić, zdumiewać. Dawniejsze utwory przemawiały do duszy, wszyscy je czuli; dla zrozumienia dzisiejszych trzeba być muzykiem. Ostatnia naprzykład myśl Webera pozostanie na zawsze tkliwém i żałosném pożegnaniem świata, w spokoju i bez goryczy.

Muzyka też nowoczesna nie jest już uważaną jako środek medyczny. Dawniéj używano jéj w leczeniu chorób nerwowych i zapewniano o jéj skuteczności W 68 tomie Dziennika medycznego z roku 1786, znajduje się na stronie 123 spostrzeżenie chirurga admiralicyi rosyjskiéj Desbout. Dotyczy ono wyleczenia muzyką 14letniéj panienki, chorującéj na hysteryą. Zauważył Desbout, że uderzenia tętnic choréj odpowiadały taktowi muzyki, a w miarę zwalniania taktu, cierpienia choréj powiększały się. W wybornéj tezie p. Duvernoy o hysteryi, przytacza on przykład, jak różne sprawiała muzyka wrażenia na jednéj hysterycznéj osobie. I tak gra na fortepianie powiększała symptomata konwulsyjne; gra na fleciku i śpiew uspokajały w jednéj chwili paroksyzm, który kończył się wybuchem śmiechu, długo jeszcze przeciągającego się, mimo że nie grano już i nie śpiewano. Mesmer, w doświadczeniach swoich magnetycznych, używał harmonijki, jako silnie działającego środka na uspokojenie nerwów. J. B. Porto

wpadł na dziwną myśl leczenia wszystkich chorób muzyką. Radził, aby robiono instrumenta z substancyi lekarskich, np. skrzypce z korzenia szlązowego, dla wydobycia melodyi łagodzącéj; fleciki z drzewa rycynowego, by w razie potrzeby mieć środek przeczyszczający i t. d.!! Odrzuciwszy jednak na stronę śmieszności tego rodzaju, lekarze zajmujący się wyłącznie chorobami umysłu doświadczyli, że muzyka zbawienny wywiera wpływ na nieszczęśliwych obłąkanych. W Paryżu, w kaplicy szpitala Salpétrière, można usłyszeć śpiewane msze, wykonane z dokładnością przez samych obłąkanych, i jeżeli muzyka nie wylecza obłąkania, to przynajmniéj przynosi tym nieszczęśliwym znaczną ulgę.

Głos ludzki jest jednym z największych i najszacowniejszych darów natury, bez których umysł nasz żadnych nie doznawałby wrażeń, a życie nie miałoby uroku; on jest najzrozumialszym tłumaczem wszystkiego, co się dzieje wewnątrz nas, — najcichszych i najgwałtowniejszych uczuć, jest mową duszy i rozumu zarazem.

Wszelkie wrażenia, wszelkie namiętności, wyraża głos ludzki najzrozumialéj. Inny jest głos rozkazu, inny czułości; tu rozmaitość stanowi — ton. Osobom nerwowym tony minorowe najmilsze sprawiają wrażenia, szczególniéj téż śpiew tkliwy oddziaływa na hypokondryków i kobiety hysteryczne. U osób dotkniętych melancholią, nastąpioną w skutku wielkich zmartwień, muzyka smętna z razu, a późniéj wesoła niezmiernie wpływa na wyprowadzenie tych nieszczęśliwych z letargu. Gdy chory podupadnie na duchu, zobojętnieje i w czarnych pogrąża się myślach, nic skuteczniéj nie wyprowadza go z tego stanu, jak muzyka huczna i ożywiona.

Rozmowa towarzyska należy do prawdziwych przyjemności życia. W znaczeniu hygieniczném mówienie jest gimnastyką głosu, udoskonalającą się rozmową, głośném czytaniem, deklamacyą i śpiewem. Starożytni lekarze jak: Oribasius, Cels, Coelius Aurelianus, utrzymywali, że gimnastyką głosu, mądrze kierowaną, zaradza się bólom głowy, katarom, słabości żołądka i t. d. Jeżeli tak jest w istocie, to nie należy powstawać na wielomówność kobiet; zresztą towarzystwo dobrze wychowanych i światłych niewiast jest najprzyjemniejszą dla mężczyzn rozrywką. Zabawy publiczne i domowe wielki wywierają wpływ na stan ogólnego zdrowia; do pierwszych zaliczyć należy teatra. Na scenie przedstawiane bywają wszystkie charaktery i namiętności ludzkie pod najróżnorodniejszemi postaciami i w najwyszukańszych formach; z tych przeto względów zwrócić należy uwagę, dla osób słabych, delikatnych i tkliwych, u których, że uczuciowość podniesioną często została czytaniem namiętnych romansów, lub źle zrozumianą religijnością, widowiska teatralne sprowadzić mogą więcéj szkody, jak korzyści. Dla osób egzaltowanych małe kółko dobranego towarzystwa, w którém toczy się rozmowa pod strażą surowéj logiki, przerywana, jak to najczęściéj się zdarza, muzyką, uważać należy za najzdrowszą i najzbawienniejszą zabawę.

ROZMAITOŚCI.

Kalendarz historyczny polski.

26 lutego 1383. Na sejmie w Sieradzu Jadwiga królową ogłoszona. 1430. Władysław Jagiełło rozprzestrzenia przywileje szlacheckie. 1654. Moskwa prosi o pokój. 1701. Przymierze Augusta II z carem Piotrem w Birżach. 1831. Skrzynecki naczelnym wodzem. 1846. Klęska pod Gdowem.

Dnia 27 lutego 1290. Zwycięstwo Władysława Łokietka nad Konradem. 1369. Traktat zaczepny i odporny z Węgrami w Budzie. 1380. Zawarto traktat z mistrzem inflanckim. 1670. Ślub Michała Wiśniowieckiego z Eleonorą Austryaczką w Częstochowie. 1837. Zamordowany w Wilnie Szymon Konarski. 1846. Pobożna procesya przez Austryaków na Podgórzu wymordowana.

Dnia 28 lutego. 1258. Trzęsienie ziemi w Polsce. 1572. Smierć Katarzyny, żony Zygmunta Augusta. 1812. Śmierć Hugona Kołłątaja.

Dnia 29 lutego. 1576. Sejm w Łowiczu. 1675. Książę toskański nadsała dary Janowi Sobieskiemu. 1767. Konfederacya Barska.

Dnia 1 marca. 1456. Urodzenie Władysława Jagiellończyka, króla czeskiego i Węgierskiego. 1634. Moskale składają broń pod Smoleńskiem. 1824. Zamknięcie szkół w Kiejdanach.

Dnia 2 marca 1258. Bolesław wstydliwy ustanawia sądy w Korczynie. 1333. Śmierć Władysława Łokietka. 1410. Ugoda z Krzyżakami zawarta w Budzie. 1427. Śmierć królewicza Kazimierza Jagiellończyka.

Dnia 3 lutego. 1384. Sejm elekcyjny w Radomiu. 1578. Sejm w Warszawie stanowi główny trybunał koronny. 1703. Śmierć hetmana Kazimierza Sapiehy. 1831. Pobicie Moskwy pod Kurowem. 1846. Austryaki wchodzą do Krakowa.

Szarada.

Nie nowina — bom mieścina
W Wielkopolskiéj ziemi,
Łatwo mnie wymieni;
Z głosek czterech me nazwisko,
Ztąd do Szląska jest już blisko.
Pierwsze dwie poetom znane,
U starych już uprawiane
Horacego formą, chlubą,
A Naruszewicza lubą.
Wiersz o wąsach Tobie znany,
Wspomni ci je mój kochany.
Trzecią znajdziesz w gamy rzędzie,
Najłatwiejszą do śpiewania;
Nią śpiewają dzieci wszędzie,
Gdy tekst nie jest do czytania.
Czwartą na niebios błękicie,
Zoczy oko w jasnéj nocy,
Wynagrodzę Cię sowicie,
Odgadnąć je — w Twojéj mocy.

Rozw. zagadki w nr. 8: **SokóŁ, OjcóW, AnczyC, KraszewskI.** ***Słowacki.***

Wiadomości o nowych książkach.

Dzień przemienia pańskiego. Powieść z naszych czasów dla ludu i młodzieży. 70 str. 6 sgr. Opr. $7\frac{1}{2}$ śgr.
Głowacki, Bartosz, kosynier. 32 str. $1\frac{1}{4}$ śgr.
Kokurewicz, J. Nauka żywienia zwierząt gospodarskich wedle Gronoma. 267 str. 1 tal. 10 sgr.
Krakowiaków najdelikatniejszych 370. 7 śgr.
Łokietek, Władysława. 32 str. $1\frac{1}{4}$ sgr.
Warsztaty i fabryki, a postęp przemysłowy. 48 str. 5 sgr.

Księgarnia **M. Leitgebra i Spół.**

Korespondencya Redakcyi.

Panu X. I. Z. Nadesłanych rebusów dla zbytniéj ich rozciągłości drukować nie możemy. Panu N. N. w Krakowie. Za słowa zachęty dziękujemy. Nieznajoméj czytelniczce (?) Nadesłane próbki dowodzą głębokiego czucia i złéj kaligrafii. — Panu W. W. w D. Dobremi chęciami piekło brukowane. Panu L. K. w Warszawie: Prosimy o pośpiech i częstsze zasilanie swemi pracami.